



JAN BOŃCZA-SZABŁOWSKI

SZABŁOWIENIA MOTYLI

## OSTATNI LOT NEKROŠIUSA

**N**iektóre zdarzenia są jak sen. Patrząc na nie teraz, przecieram oczy ze zdumienia, że to się zdarzyło naprawdę. Namówić Eimuntasa Nekrošiusa, by zrobił w Polsce „Dziady”, a potem zaproponować je dyrekcji Teatru Narodowego i również uzyskać zgodę – to brzmi jak mrzonka. A jednak...

Sama możliwość spotkania się z Nekrošiusem, gigantem litewskiego teatru, wydawała się rzeczą zupełnie nierealną. Fascynująca wyobraźnia, nieoczywiste skojarzenia, niecodzienne spojrzenie na dzieła światowej literatury sprawiły, że jego spektakle dla wielu były niekwestionowanym odkryciem. Do wyobraźni Polaków Nekrošius wdarł się śmiało za sprawą Krystyny Meissner. Dzięki niej zaczął gościć na toruńskim festiwalu Kontakt, a z czasem był jego najbardziej oczekiwanym uczestnikiem. To tam, w Toruniu, po raz pierwszy miałem okazję obejrzeć, jak w swoją niezwykłą wyobraźnię wpisał utwory Czechowa czy Szekspira.

Widziałem też, jak spektakle charyzmatycznego Litwina spotykały się z niekłamaniem uznaniem, a często zachwytem widzów i krytyków, a jednak on sam zawsze stał gdzieś z boku. Po zakończeniu przedstawienia, słysząc owacje na stojąco i aktorów zapraszających go na scenę, wylaniał się nieśmiało z mroku kulis, i po krótkim ukłonie szybko za nie powracał. Nigdy nie uczestniczył w konferencjach prasowych, stronił od dziennikarzy, od blasku fleszy. Nie komentował recenzji, nie wdawał się

w polemiki. Kiedyś został nawet nazywany litewskim niedźwiedziem, który żyje w swoim rezerwacie i lubi mieć przede wszystkim święty spokój.

O tym, by wyreżyserował coś w polskim teatrze, gdzie przecież od lat miał rzeszę fanów, można było tylko pomarzyć. Wydawało się to tak realne jak współpraca z Peterem Brookiem. To, że zadebiutuje w Polsce jako reżyser operowy, było tym większym zaskoczeniem. I właśnie realizacja opery „Qudsja Zaher” sprawiła, że zaproponowano mi z nim wywiad. Znając jego nastawienie do dziennikarzy, sprawę uznałem za rodzaj żartu, ale pomyślałem, że nie mam nic do stracenia. Myśl, bym nie robił sobie zbytnich nadziei, potwierdziła umówiona wcześniej ekipa radiowa i telewizyjna, która związała sprzęt, kiedy wchodziłem do malarni Opery Narodowej. – Już skończyliście? – zapytałem. – Zaczęliśmy i skończyliśmy – odpowiedzieli. – On po prostu nic nie mówi...

Pomyślałem wtedy, że mając już doświadczenie wywiadów z Mrożkiem, który również nie należał do rozmownych, zaryzykuję. Zaczęłem od zachwyty jego spektaklami w Toruniu. Przyjął z aprobatą, ale też bez chęci dialogu. Do rozmowy włączył się nieśmiało, gdy zapytałem o prace operowe i realizację „Qudsji Zaher”. Wyraźnie rozkręcił się, gdy poprosiłem go o ocenę polskiego teatru. Mówił o nim z uznaniem, o tym, że dla niego nasz teatr był zawsze namiastką Zachodu. Wymieniał największe polskie nazwiska. I wtedy zapytałem o to, o co zawsze chciałem zapytać: czy

nigdy nie myślał o zrobieniu „Dziadów”? Nekrošius zastygł w milczeniu i patrząc gdzieś przed siebie, powiedział, że marzy o tym od lat. W czasach sowieckich jednak cenzura mu zakazała. A teraz, gdy ma własny teatr, dawna wizja rozrosła się na tyle, że jego zespół by tego nie pociągnął. – A gdy otrzyma pan taką propozycję z Polski? – zapytałem. – Potraktuję ją bardzo poważnie – odparł Nekrošius.

Kiedy wpadłem z tym wywiadem do redakcji, wiedziałem, że pierwszy telefon trzeba wykonać do dyrekcji Narodowego, który ma nie tylko najlepszy zespół aktorski, ale i techniczny, i tylko tu wizja genialnego Litwina będzie mogła zrealizować się najpełniej. Jan Englert poinformowany, że za trzy dni w „Rzeczpospolitej” będzie wywiad z Nekrošiusem, który zadeklarował chęć robienia w Polsce „Dziadów”, powiedział bez wahania: „No to robimy”. Poczulem, że to kolejny dar losu.

Następnie była zgoda Litwina, bym przyglądał się próbom. Jako jedyny dziennikarz w Polsce dostałem też szansę na kolejne wywiady. I przyglądanie się realizacji kolejnych spektakli. Potem był gombrowiczowski „Ślub”.

I kiedy egzotyczny Litwin zaczął się coraz bardziej oswajać z Polską, przyszła nieoczekiwana wiadomość o jego nagłej śmierci. A było to kilka dni po tym, jak jego warszawskie „Dziady” triumfowały w Wilnie. I wtedy pomyślałem sobie, że właśnie one, wyśnione i wymarzone przez lata, były jego artystycznym testamentem. ©©